

Wychodzą we *Wto-*
rek, Czwartek i Sob-
otę. We Lwowie prenu-
merata roczna 6 Złr. —
półroczna 3 Złr. — kwar-
talna 1 Złr. 30 kr. —
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
sztową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza za je-
dnorazowe umieszczenie
po 3 kr., za następne po
1½ kr. i za dopłatą 10 kr.
steplowego.

Biuro ekspedycji w księ-
garni *H. W. Kallenba-*
cha przy placu dykastery-
alnym pod l. 41.

Mistycyzm w poezyi.

(Ciąg dalszy.)

III. Bohdan Zaleski.

Idźmy dalej! mińmy ciasne ulice starego miasta, labirynt zaułków, gniazdo nędzy, rewolucyi i barykad, mińmy bulwary, konieczną scenę wszystkich romansów francuskich: pałac tuilleryjski, tę, jak się jakiś autor francuski wyraził, istną austeryą wszystkich wjeżdżających i wyjeżdżających dynastji i władz, wjeżdżających z koroną, a wyjeżdżających na śmierć lub wygnanie. a przebiegłszy ogród, niemego świadka tylu tryumfów i tylu łez, przejdziemy jeszcze plac zgody! (place de la concorde), czyli plac Luxoru, na którym posąg króla zastąpiła gilotyna, a gilotynę obelisk z Egiptu sprowadzony, plac na którym cztery wodotryski są słabem tylko naśladownictwem tego jeniałnego krwiotrysku, który wynalazł terroryzm a ochrzcił doktor Guillotin. I jesteśmy już na polach Elizejskich. Przebiegłszy śliczne, pełne zieloności ulice, i kłaby z pysznym rzutem oka na Sekwanę, na wypukłą kopułę inwalidów, i plaę marsowy, jesteśmy przy rogatce miasta. Jesteśmy zawsze w Paryżu, jakby na przedmieściu, choć jesteśmy w Passy, małej niegdys wiosce, zapełnionej dzię uroczemi willami, wdzięcznie rozrzuconemi na niewielkiej ponad Sekwaną rozciągniętej wyniosłości.

W środku ogródków, will i domków, kapryśnie nad rzeką piętrzących się, jest skromny ale śliczny domek. Cały tonie w drzewach ogrodowych, z których czasem tylko za podmuchem wiatru, tu komin zabieleje, tam szyby okna zabłysną. Wśród kłabów, trawników, kwiatów pełnej woni, z kwiatami na wystawie, z kwiatami zagładającymi ciekawie z za okna, zielonością pnącej się po ścianie winnej latorości umajony, domek ten wydaje się istnem gniazdeczkiem spokoju i szczęścia domowego. I spokojnie też w koło niego, spokojnie w nim, a wszędzie i wewnątrz i zewnątrz, staranna, wyszukana panuje czystość, która przed wszystkim jest znamieniem bytu dobrego. Ogólny spokój i ciszę domu tego przerwie od czasu do czasu głos muzyki. Słoniowe fortepiana klawisze, umiejętną dotkniętą ręką, wydają dzwiczne tony, tak cudnie harmoniujące z wdziękiem całego otoczenia, z wonią kwiatów, i uroczą powierzchownością ogródka i domu. Jeżeliś muzyk, uderzy cię mistrzowskie wykonanie połączone z miękkością i lubością, zdradzającą palce kobiece, do pieszczot

przyzwyczajone i pieścić umiejące. Jeżeliś przybył z nad brzegów żółtych wód Wisły, wartkiego Sanu, przezroczy-stego Dniestru, lub sinego Dniepru; z podnóża Krępaku, z borów Litewskich, czy z gniazda orlego, z pod Gniezna murów; tony Chopinowskiej muzy, przerywane pełnemi czucia improwizacyami grającej, przypomną ci te wszystkie nuty, które nosisz od dziecka w sercu, nuty, któremi ci grały głosy stepów, nurty Dniepru, fale Wisły, flety gór pastusze, któremi szumiały i bory i góry rodzinne, a wszystkie proste piosenki zagród Rusi, Krakowa, Mazowsza i Kujaw.

W salonie którego ściany francuskie przemówią do ciebie znajomym ci językiem polskich pamiątek, obrazków i portretów, siedzi w rzeczy samej przy fortepianie kobieta. Młoda jeszcze, pełna wdzięków i urody, piękna spokojem i szczęściem, które lepiej od różu i blanszu utrzymują płeć, gra z natchnieniem znakomitego talentu. Z tonu w ton, z nuty w nutę, z myśli w myśl przechodząc, wyrobił się na pół z allegra wydobyty, temat jakiejś igrającej, kapryśnie jakby po morzu pluskającej harmonii, wenecką barkarolę przypominający.

Przy bocznym stoliku siedział mężczyzna, miał kilka książek rozwartych przy sobie, a przed sobą papier i wszelkie przybory do pisania. Lecz on ani czytał, ani pisał, on słuchał uchem, a okiem patrzył w grającą kobietę. Piękna muzyka i piękna twarz, czyliż niedosyć, by zająć? A jeżeli ta piękna twarz jest twarzą kochanej i kochającej żony, jeżeli w domku, w gnieździe domowem tak lubo, tak wygodnie, tak dostatnio, czyliż nie można zapomnieć o czytaniu i pisaniu? Mileczał aż do ostatniego u-stępu muzycznego.

— Moja droga! — ozwał się nagle. To śliczne! ale to na operę zakrawa! ja wolę tanio adagio; w niem była cudna, prawdziwa modlitwa, jakby modlącemu pojawiła się Rodzina przenajświętsza.

— Modlitwa! — zagadła kobieta urywając nagle, a w jej słodkim głosie zabrzmiało coś do wyrzutu podobnego. Dla czego modlitwa? — dodała.

Bo kobieta najczęściej już z układu i przeznaczenia swego nabożna, pod nabożeństwem rozumie pacierz. Modlitwa ma konieczną już dla niej przedmowę łez, żalu i rozpaczy.

— Dla czego? pytasz! — odpowiedział mężczyzna, który może pojał przycisk jej słów. Bo jestem szczęśliwy; tak ja jestem szczęśliwy, a tam daleko, i tu w koło mnie tylu jest nieszczęśliwych, i w koło nas i przed na-

mi tak ciemno, tak niewyraźnie! Cóż ja na to poradzić mogę sam jeden, ale modlić się, szczerze modlić się mogę i powinienem.

— Tyś szczęśliwy mężu! — zawołała kobieta, która nawet nie dosłyszała reszty jego mowy, ale sercem rozumiała, że jeżeli szczęśliwy, to przy niej i przez nią. I poskoczyła ku niemu by go czule ucałować.

— Modlić się! — powtórzył pół głosem, i zamarzył.

Twarz jego w górę wzniesiona, warta ze wszechmiar, by się lepiej i bliżej nad nią zastanowić. Na tej twarzy nie znać wieku, nie znać przejścia tych wszystkich umysłu i serca wstrząśnień, które tak potężnie grają po wszystkich nerwach, że nakoniec piętno swych akordów wycisną na tym futerale, który je pokrywa. A przecież nie była to twarz zwyczajna, tuzinkowa! O nie! Na czole dosyć szerokiemi, na rysach pociągłych twarzy, w oczach promieniących się, było życie umysłowe, była inteligencja; brwi nieco obwisłe i ku sobie zbliżone, wewnętrzny wytrysk myśli, to weselszym to posępniejszym cieniował ruchem. To jest głowa człowieka myślącego, wyższego. Ale obok tego piętna inteligencji rozlany był inny jeszcze wyraz na twarzy, miękkiej słodyczy, i dobroci serca, który poniekąd sprzeczał się z niem, ale zdawał się zwykle zwyciężać w walce. I do tej miękkości serca zastosowany był cały jego układ, ta postać nie wzniosła, i ta twarz drobna, malutka. Było w nim coś miniaturowego. O wiek nie pytaj, jeżeliś go nie znał, bo wieku nie poznasz. A jeżeli znałeś go przed laty 20, a iluż to go znało, poznasz od razu, bo się nic prawie nie zmienił, jeno połyssał trochę i krzykniesz zdziwiony i uradowany:

— To Bohdan Zaleski!

I przytulona do niego żona zaczęła go pieścić. Lecz ledwie chłodnym poeta odpowiedział całunkiem. Oczy jego zaiskrzyły się, brwi podniosły do góry. On marzył, dreszcz dawnego natchnienia przebiega mu żyły, i porwał za pióro.

Po cichu, na palcach prawie, pocziwa odeszła żona.

Bohdan Zaleski jednym tchem rzucił na papier kilka strof jakiś pieśni nabożnej czy modlitwy. Po tylu innych cudnych piosnkach swoich, z których każda z osobna jest jakby wolnym ptaszkiem wypuszczonym z tej wielkiej klatki, w której tyle mieści się lotnych światła i świata pragnących pojęć i myśli! I każdy z nich ma inne barwy, a wszystkie cudne, szklnięce, wszystkie nęcą oczy, i wszystkie dobrane. I każdy z nich dzwoni po przed ziemią, po pod niebem, takie urocze, takie tęskne, za serce porywające piosenki, że się ich odsłuchać nie można, a wszystkie tak proste, że je każdy zda się naśladować potrafi, a nikt nie naśladował, od słowika po człowieka!

Po tylu innych pieśniach, pieśni nabożne.

Cóż dziwnego! Lekkie powylatywały w świat ptaszki, a z niemi poleciały wszystkie odcienia jego zapału. Wszystek zapał, wszystkę tęsknotę czyż już wyśpiewał? Nie,

zaiste! Ale śpiewa teraz pieśni nabożne, i w nie kładzie resztę zapału i resztę tęsknoty. I jak sam powiada, modli się bo jest sam szczęśliwy, bo się lituje na tylu nieszczęśliwymi, którym nic poradzić nie może. Tak a nie inaczej musi się wszystko wydawać człowiekowi, który jeden prawie wśród kornej drużyny towarzyszy, zdybał uroczą, zieloną oazę w pośród puszczy obczyzny. I czyż ma porzucić tę oazę miłą, ten wonny domek, to lube ustronie, te miękkie dostatki, a najdroższą nad wszystko żonę, aby po puszczy i nocy brodzić, szukać, i nakoniec nic nie znaleźć chyba może koniec domowego szczęścia!

Det vitam, det opes;

Animum mihi ego ipse parabo,

powiedział szanowny Horacyusz, ojciec wszystkich filozofów, przeszłych i przyszłych, i powiedział bardzo praktycznie. Animus zaś człowieka jest mocno kameleonowy; zmieni się rozmaicie, lecz zawsze zostanie animusem.

Nasz Bohdan Zaleski, modli się, modli za szczęście swoje dziękując, modli się o szczęście dla nas, i o lepsze czasy!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DO GOŃCA *).

Tak cicho i głucho na stepie, mówicie,
Że przez głęboką, stepową ciszę,
Słychać jak motyl trawką kołyszę,
I orlich skrzydeł w powietrzu bicie;
Że myśl tak czysta jak nieb błękitny,
Co po nad stepem się rozpostarli,
A którą z świata ludzie wyparli,
Na której bóstwa znak jest wryty,
Tam wzrośnie silnie, niczem nie skarli? —

W tę ciszę, pustkowie, młodzieńcze tak spieszysz,
By z echem, bez ludzi, rozmówić się w lesie?
Ty pędzisz wronego, choć z wiatrem cię niesie,
By wydrzeć i serce i zucie z śród łona?
O, próżno, daremnie się spieszysz i cieszysz,
Gdy w dworze przed borem zostanie tu ona! —
Tam orzeł bez trwogi i koń bez wędzidła
Swobodnie bujają, bo wspomnień nie mają!
I dusza rozwinąć tam może swe skrzydła,
Rozprysnąć jak tęcza w stepowe umidła;
Lecz dusza, co uczuć silniejszych nieznała,
Lub wzrosła na stepie, i w nim się chowała
Choć wydrzesz twe serce i z serca uczucie,
I orkan wtórować serca będzie nucie,
To orkan nie zgłuszy w twej duszy wspomnienia,
Nie stanie nieb błękit, za lubej spojżenia,
Za głos jej dźwięczący stepowe milczenie,
O wierz mi, mój gończe, nie stanie, nie, nie!

SZCZĘSNY I HANKA.

Szkic fantastyczny.

I.

Słońce było zachmurzone, widokrąg zasępiony, karoszlaciał zapieniony. Szczęsny na nim siedział i jak dumał tak

*) Patrz Nr. 46. Nowin.

dumał: »Leć karoszu, leć, nie szcędź trudów, nieszcędź piany, ach! gdybyś wiedział, ile mi spieszo, gdybyś wiedział co za pożar wre w sercu mojem, tobyś podwoił twe skoki, to byś przeleciał w mgnieniu oka wszystkie te góry, lasy, parowy i skały. Bo żeś ty mi wierny, o tem wiem już od dawna, ale czemu natura nie obdarzyła ciebie skrzydłami? Ach w tedy wznieśliśmy się po pod obłoki i lecieli jak sokoły, jak z łuku puszczone strzały. Lecz pomimo tego skrzysz kopytkiem ognia, zabłyśnij łysinką i leć mój karoszu, leć ile ci tchu stanie a w nagrodę, gdy staniesz przed domkiem Hanki, wyciągniesz się na miękkim sianie i dostaniesz owsa miarkę pełną, soli garść całą, a w dodatku kilkanaście skórek z harbuza, bo pamiętaj i zważ sobie, że gdy kochanka kocha kochanka, to wszystko kocha co kochanek kocha.« Karosz gdyby zrozumiał prośbę przyjaciela, skrzesał kopytkiem ognia, zabłyśnął łysinką i jak leciał tak leciał. Czarny płaszcz Szczęsnego igrał z wiatrami gdyby żagiel, rozczochrane, krucze włosy służyły niby za wiosła a z ocz sypał ogniem jakby błyskawice. Szczęsny tak lecąc musiał być podobny do podrzędnych Lucypera, bo dziatki które napotykał zbiegały mu z drogi, tuląc się do swoich matek, a matki na widok jego zęgnęły się znakiem krzyża.

»Hej sępie krwiżerco! gdzie lecisz? czego to się wzbijasz po pod obłoki, to zlatujesz raptem na powierzchnią ziemi naszej? Cóż ci winne te ptaszęta, co tak mile świergoczą? dumny! czy zazdrościsz im ich swobody, ich wesółości, ich szczęścia, których ty w swem łupieżnem życiu ani jednej nie doznajesz chwili? Przemień swe życie, porzuć rozboje, karm się miasto krwią ziarnem, nie pyszń się z swego rodu, uznaj w ptastwie swoich ziomeków, nie bądź hardym, nie bądź pustelnikiem, nie czychaj na cudze życie, na cudzą krew, na cudze prace, a będziesz tyle szczęśliwy, tyle swobodny, tyle wesół ile one. Co? znikasz! Ha prawda w oczy kole! posłuchaj jeszcze, jeszcze trochę, może ci to na dobre wyjdzie. Gdybym tobą był zostawiłbym w spokoju te tak miłe ptaszęta, polęciałbym do sępiczy i wznosiłbym się wraz z nią po pod obłoki... Lecz co widzę? uciekasz, nie słuchasz, znikasz... Szczęśliwy! Może bujać w powietrzu, może się wznosić aż do słońca, może z wierzchołka przypatrywać się tej grudce co my tak dumnie ziemią zowiemy. O gdybym był nim, już bym wleciał okienkiem lub kominkiem do jej siedziby, jużbym się przypatrywał jasności ocz jej...» Szczęsny zamilkł, cmoknął na karosza i wleciał pomiędzy lasy, debry, skały. »Jakże cudnie lgnie ta okolica do serca mego, te nieboszczytne skały, te rwiące potoki, te burzą poprzewracane jodły, ten krzyż tam na górze, ta pustelnicza chata, te gruzy, niegdyś siedziba panów, dziś sów i puchaczy! Ile to wszystko jest piękne, jakaż uroczą smętność pokrywa cały ten dziki obraz, który się odbija o moją duszę jakby o zwierciadło, jakby o powierzchnią wody.»

Karosz uciekał, krajobrazy nikły, góry, lasy, parowy zostawały za plecyma, słońce zachodziło, a Szczęsny dostał się na równinę. Na równinie było rozsypanych kilkanaście chat, za chatkami wznosił się kościółek, przed którym ludzie tłumnie się schodzili, w kościółku leżała małeńka trumienka a koło niej rzewnie płakało kobiet kilka. Ksiądz posyłał modły z gęstymi kłębam dymu a matka wpatrywała się szlochając w tenże dym, jakby chciała wśród woniących kłębow ujrzyć duszkę dzieciny. Szczęsny zatrzymał konia i przypatrywał się temu smętnemu widokowi a nasyeiwszy tęskną duszę, skoczył i poleciał.

II.

Przed małym domkiem starożytna lipa rozsylała na wszystkie strony swoje gałęzie, pod lipą była zielona kanapka a na niej siedział srebrnym włosem ozdobiony starzec i młoda nadobną ale smętna dziewczica.

— Córko! rzekł starzec, tuląc rękę dziewczicy, czemuż na twych niegdyś tyle rumianych licach osiadł od pewnego czasu wyraz tęsknoty? Czemu kryjesz się przedemną z swemi łzami? Jakiż mól obrał sobie w twem młodziechnem serdaszku siedzibę? Wyjaw mi córko, wyjaw to wszystko, jestem ojcem, któż godzien milszą pociechę wlać w serce dziewczicy nad ojca?

— Ojcze, to co czuję nie umiem sama sobie wytłumaczyć, jakieś przeczucie, jakieś sny dręczą mnie bez przestanku; tej nocy widziałam siebie umarłą, leżałam w pięknej trumience z założonemi rękoma, z wianeczkiem świeżych kwiatów na skroniach, z wizerunkiem Matki Boskiej w rękach i z sztyletem w piersiach. Widziałam Szczęsnego, sobie włosy wyrwijącego i ciebie ojcze w grubej żałobie. Och wszystko to widziałam jakby na jawie, potem dziwnie słodko mi się zrobiło, zoczyłam się w jakimś pysznym ogrodzie, w jakiejś nadziemskiej okolicy.

Cudne kwiaty napawały całe powietrze wonią, drzewa wzbijały się po pod obłoki, a pełno ptasząt śpiewało tak mile jakby sami aniołowie. Widziałam tam moją matkę, która wyciągała do mnie swe śnieżne ramiona i tuliła mnie do swych piersi.

— Córko! sny nic nie znaczą, marzyłaś o tem z wieczora.

— O nie, ojcze, sny pochodzą od Boga! ja czuję że jakieś nieszczęście wisi nad nami.

— Serce mi rozdierasz, patrz jak do koła pięknie, wesóło, patrz jak się murawa zieleni, jak się kwiaty uśmiechają, słuchaj jak słowik nuci swoją piosnkę, jak źródło mruczy swe pacierze i jak serce ojca tłucze się na widok zaspionej córki. Porzuć córko smutne marzenia, rozwesel czoło, usta niech zabrzmią śmiechem a twe rączęta niech poigrają z siwemi włosyma ojca, niezabawem wróci Szczęsny, cierpiał by dużo gdyby zoczył kochankę cierpiącą. Krótkie bę-

dą już dni życia mego, osładzaj je a osłodą może tylko być twa wesołość, twój uśmiech, twoje szczęście.

— Poczekaj Hanko, urwę ci tę tam różyczkę, na niej wyryta swoboda rozweseli twój umysł, jej woń przypomni ci słodycz życia a jej wdzięki podwoją twoje.

Ojciec poszedł za różyczką.

Hanka została sama, podniosła zwiędły fiołek i rzekła: O gdyby moje szczęście tak nie wędlo! i pobiegła za ojcem, udając swobodę, radość i wesołość.

— Ojczy, dzięki ci żeś rozpędził chmurę z serca mego, byłam lekliwą, byłam marzącą, ale już to wszystko minęło, jestem wesołą, jestem szczęśliwą, ojczy sny są złudzeniem.

— Hanko, z twoją wesołością wracają się moje lata młodzieńcze, widząc tak ciebie zapominam o siwiznie i zdaje mi się, że nie jestem na ziemi ale w niebie.

— Ojczy już mnie teraz zawsze taką zobaczysz, chyba... chyba... Hanka zamilkła a milcząc pomyślała: chyba że sny od Boga pochodzą.

Starzec objął córkę, przytulił do piersi, serce jego rosło z radości i był najszczęśliwszy. Ale sęp krwiżerca, niby zazdrośny każdemu szczęściu, każdej swobodzie, okrążył ich po trzy razy, rzucił na nich wzrok pełen zawiści i ostrzył szpony, jak gdyby chciał je zatopić w pulchną pierś dziewczicy lub w strupieszale kości starca.

Długo ścisnął ojciec córkę, piękny był to widok, siwe jego włosy zmieszały się z hebanowemi splotami dziewczicy, suche jego palce wtłoczyły się w pulchne ciało, zwiędłe usta umieściły się na różnych policzkach a zmarszczkami porane czoło wspierało się na białych, gładkich skroniach.

Jeszcze dłużej była by się przeszłość z teraźniejszością pieściła, gdyby tętent konia nie był doszedł usz dziewczicy. Hanka wyrwała się z objęcia ojca, z radością wykrzyknęła: Szczęśny! Szczęśny! i pośpieszyła, a za nią starzec na przeciw przybyłego. Szczęśny skoczył z konia i już był w objęciu Hanki, ścisnął dziewczicę, ścisnął starca, pieściła go Hanka, błogosławił ojciec. Szczęśny szeptał coś dziewczynie a ojciec przypatrywał się radośnie kochającej parze, tak zaszli do domku. W domku oczekiwała ich wieszczka, po wieszczce starzec odmówił pacierze a kochanek z kochanką długo i długo chodzili przy blasku księżycy.

Nazajutrz karosze osiodłane czekał przed gankiem na Szczęśnego. Rzecz była skończona, kochankowie przemienili pierścionki; wnet miało być wesele. Szczęśny odjeżdżał robić przygotowania, ścisnął Hankę, ucałował rękę starca, skoczył na karosza, emoknął i poleciał. Hanka stała na ganku i wpatrywała się w oddalającego Szczęśnego, aż dopóki on z karoszem nie wydał się w dali jakby skowronek. Niebo się zachmurzyło, stado wron zaczęło krakać nad domkiem, a Hanka uciekła do pokoju i zabierała się do ślubnej sukni. Biedna zapomniała, że człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi.

III.

Na górze oblanej wodą, wznosi się zamek. W zamku na miękkiej sofie rozciągnął się pan Graf. Był to mężczyzna, dochodzący lat 40, a całe jego życie było wypiętnowane na jego twarzy; włosy miał pomieszane z siwizną, oczy zapadłe, czoło zmarszczone a wymowę nie wyraźną. Pan Graf ziewał, ziewając przyszła mu jakaś myśl; pan Graf zwykł był myśli wnet do skutku doprowadzać, skoczył z sofy, świsnął a w tem samym mgnieniu oka już i hajduk stał przed nim.

— Koczyk niech zajeżdża! wrzasnął pan Graf. Hajduk wstrząsł się i czekał na dalsze rozkazy; pan Graf miasto powiedzenia: „ruszaj“ świsnął prętem po łbie hajduka, hajduk zbłądł, zczerwiecił się i wyszedł gdyby nic się nie stało; wiedział bowiem, że w przeciwnym razie sto pałek by go nie minęło.

Już turkot powozu dał się słyszeć, pan Graf obwinął się płaszczem, wziął sztylet, bez którego nie zwykł udawać się w drogę i wrzucił się w powóz. Pan Graf musiał się nudzić, bo ciągle wołał: leć, leć, lub: na prawo, na lewo. Nic nie było słyhać prócz turkotu powozu, pisków sępa i wołania pana Grafa. Koczyk był niedaleko schłodnego domku, pan Graf wrzasnął: przed domkiem stanąć, a w kilka sekund wchodził pan Graf do pokoju. W pokoju była młoda dziewczica, sama jedna, zatrudniona robotą około białej sukni.

— Hanko! — rzekł pan Graf; czy uwierzysz twojemu szczęściu? Przyjechałem aby ciebie z tej nędznej chaty zawieść do mojego zamku, ja ciebie kocham, Hanko ty musisz być moja.

— Za nadto dobroci, ale to być nie może, jestem po zaręczynach.

— Być nie może? Ha! ha! ha! być nie może? być musi! — Pan Graf chciał obsypać dziewczynę pieszczotami, ale w tej chwili starzec wszedł do pokoju Hanki.

— Starcze! ja, pan, Graf, przyjechałem po waszą córkę, ona musi być moja!

— Musi być? tego nie rozumiemy — Szczęśny jest jej narzeczony, a za dni kilka będzie mężem.

— Starcze! śmieję się z twej gadaniny, Hanka będzie moja.

— Pan jesteś Graf, a ja szlachcic polski. — Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie! Panie Grafie, zawołam sąsiadów a nieproszonych gości za drzwi się wynosi! Nie dla panka, moja Hanka!

— Nie dla panka twoja Hanka, a więc dla djabła!

Oczy pana Grafa zaiskrzyły się, piany toczyły się z ust jego, tupał nogami, a domawiając ostatnie słowa, wyjął sztylet, cisnął nim w serce dziewczyny; rozśmiał się wściekle i zniknął.

Hanka ledwie zdołała och! wykrzyknąć i pada. Starzec wyciąga do niej ramiona, wołając: Córko! córko! a na

widok konającej córki zmysły go odchodzą, nogi pod nim drżą. Starzec pada a padając ciężarem swym wbija sztylet aż po rękojeść. Echo porywa jąki i pieści się niemi. Siwa głowa starca kąpie się w gorącej krwi dziewicy.

IV.

Słońce było zachmurzone, widokrąg zasępiony, karosze leciał zapieniony, Szczęśny siedział na nim, siedział i jak dumał tak dumał:

„Leć karoszu leć! ach, serce rośnie mi z radości! Ach, jutro będzie po naszym weselu! Karoszu ja z moją Hanką będę dzielić komnatę, chleb, trudy i uciechy. Od Adama do człeka, co się dziś rodzi nie było szczęśliwszego nademnie!“

Karosze jakby zrozumiał prośbę przyjaciela, zarżał, uderzył kopytkiem, wznosił głowę i leciał a leciał. Mijali łąki, lasy, skały i lecieli gdyby sokoły, gdyby jaskółki.

„Patrz karoszu jak igra skowronek z skowroneczką, przypiórką z przypióreczką i ja tak będę weselić się z Hanusią! A czy widzisz, tam dalej na wzgórzu wznosi się ciemny dąb a około niego świeża brzoźka, brzoźka jest Hanka, dębem ja, sploty Hanki jak wiją się o mnie dęba, a ja dąb sięgam ramiony do mojej Hanki brzoźki. Burza się wzmaga, wiatry kołyszą drzewa, co za ciemnica otacza nas! Grzmot po grzmocie, karoszu, karoszu, zaczekajmy, burza przejdzie, słońce zabłyśnie a polecim do naszej Hanki.“ Karosze stanął, kopytkiem grzebał, nozdrzem furkał, grzmoty i pioruny biły, karosze drżał cały a Szczęśny wlepił oczy w brzoźkę i dęba. Deszcz ulewny lał, ciemnica coraz większa, w tem okamgnieniu ogień leci; w zygzaki i niknie, nadziemski potwór ryknął gdyby huk stu dział, było piorun, ugodził w brzoźkę, osmolił dęba i zamilknął.

Burza ustała, już nie drżał karosze ale natomiast Szczęśny struchlał, ze łzami w oczach wpatrywał się w obaloną brzoźkę i krzyknął: „biada! biada! zła to wróżba!“ Skoczył, szarpnął konia i gwizdnął. Karosze leciał a leciał, Szczęśny jak dumał tak dumał. Wlecieli na podwórze, na podwórzu milczenie. Szczęśny skoczy z karosza, leci do pokoju — ach co za widok! Na podłodze pełno krwi zaschniętej, spieczonej. Wśród tej krwi Hanka z przekrzywionymi ustami, z zawróconymi oczyma, z rozczochranymi włosy. Obok Hanki leżał trup starca. Szczęśny leci do Hanki, porywa ją w objęcie, ściska, głaszcze, nazywa swą oblubienicą, żoną, przysięga jej wieczną miłość, i całuje zlodowaciałą twarz. Hanka czy zagniewana, czy oniemiała, milczy — jej kibić łamie się w essy, ręce wisną ku ziemi, a usta na pół otwarte. Szczęśny czy oślepl, czy oszalał, pieści trupa!

Gość w domu, nikt gościa nie bawi. Gdzież polska gościnność?

Idzie, idzie terazniejszy gospodarz, przychodzi witac

swego gościa, wsuwa się drzwiami, wytrzysszcza oczy, toż drzwi przymknięte? O jego drzwi stoją otworem, jego bramą są usta Hanki; terażniejszy gospodarz izdebki, to gad! wylągl na ustach Hanki i wpatruje się w Szczęśnego. Na ten widok dopiero przychodzi Szczęśny do zmysłów, rzuca trupa, łoskot odbił się o powalę. Gad i zgnilizna! krzyknął Szczęśny — przeklęta miłość! Wszystko jest zgnilizną, stęchlizną! Świat cały ona, ja, ach! wszystko jest gadem, zgnilizną, stęchlizną! Precz świecie!

Precz! cóż jestem? Nicość! Nicość! Zgnilizną! Stęchlizną!

Szczęśny wybiegł z domku, karosze przyleciał do swego pana. Szczęśny porwał leżącą kłodę i rzucił mu o łeb. Karosze padł i skonał, a Szczęśny poleciał w lasy, debry krzycząc: Nicość! Robacwo! Zgnilizna! Stęchlizna!

V.

Przed ruiną małego domku starożytna lipa rozsyłała na wszystkie strony swoje cieniste gałęzie. Pod lipą siedziała w łachmany odziana staruszka a koło niej młoda uboga dziewczyna. Staruszka z dziewczyną zabawiała się gawędką:

— Babulo cóż znaczą te pustki? Czyż nie mają właściciela? Okolica tak cudna!

— O ho, ho! nie jest to ta pustka pustką.

— Taż drzwi zawalone.

— Ale patrz się dziewczę, komin stoi otworem, kominem wlatują o północy do tej pustki biesy i czarownice i na tych gruzach hasają. Co tu się nie działo oj! oj! oj! Ale to nie za twojej pamięci. Lat temu 20 już minęło jak mieszkała w tym domku dziewczyna młoda, piękna gdyby malina z ojcem staruszką.

— I cóż się babulo z niemi stało?

— Oj! oj! oj! — przebacz nam panie, na wronym konie przyjechał bies, zabił Hanke, starca i wronego konia, a sam szczezł. Wszyscy odtąd omijają ten domek, bo coś się tu nadzwyczajnego działo i dotąd dzieje. Jeden pan Graf co w sąsiednim zamku przemieszkiwał, nie wierzył temu, by bies przyjeżdżał na wronym koniu, ale gdy się o tem przekonał, gdy naocznie ujrzał wronego konia z rozbitym łbem, jako dziwnie się zafrasował, sto rubli dał na mszę świętą i tak zachorował, że pół roku jęcząc skonał. Oj tak, tak dziewczę, tak to się działo.

Babula z dziewczyną już daleko były za rozłożystą lipą, a jeszcze coś sobie szeptały o Hani, starcu i o biesie.

Prus I.

Kilka słów o dzisiejszej koncertowej muzyce.

Il faut tout passer par l'estamine et ne loger rien en notre teste par autorité et à crédit. Montaigne.

... Hummel zamknął dobrą szkołę fortepianową; Moscheles, Kalkbrenner i szczupła liczba innych, zrazu usi-

łowali ją utrzymać, lecz później, czy sił im brakło, czy dali się uwieść błyskotkami, mało co wartego napisać mogli. W onczas Szopen był jeszcze w pieluchach. Jak między Mozartem a Rossinim, prócz trzech Włochów, sami Francuzi zagarnęli państwo opery, tak znowu między Hummlem a Szopenem, ciż Francuzi, zręczni w obrabianiu do smaku chwilowego rzeczy znanych, opanowali muzykę koncertową. W czasie największego ubóstwa na polu muzycznym, zjawił się Paganini, o którym można powiedzieć, co ktoś powiedział o jednym dziele Châteaubrianda: „*c'est un ouvrage qui n'a pas eu de modèle et qui ne doit pas en servir*”; w istocie, największe skrzywienie dzisiejszej koncertowej muzyki trzeba przypisać Paganiniemu. „*Paganini joue du violon comme un prestidigitateur qui fascine et pipe la crédulité du public. C'est un magicien qui rit, pleure et chante pour vous attirer dans ce cercle fatal ou il accomplit ses mystérieuses incantations*” (Scudo). Widać z tej charakterystyki Paganiniego, że wszelkie naśladownictwo jego gry było niepodobne a może i bezsensowne, jednakże inaczej się stało. Liszt, obdarzony potężną zdolnością do mechanizmu, ale bez samodzielności, bez ducha poetycznego, rzucił się do przesadzenia na fortepian, nie tego, co było istotnie wielkiem w Paganinim, ale zwierzchniej sukienki, błyskotek które najsilniej odurzały publiczność, a co było mniej trudnem do naśladowania. Zjawiły się *transkrypcje*. Zręcznie, choć z krzywdą fortepianu i muzyki, przekładał Schuberta i Beethovena; nowość ta podobała się publiczności; Liszt został ogłoszony geniuszem. Jednakże Liszt nie dał się otumanić poklaskami, znał swoją wartość, a jeszcze więcej nedoręczność wprowadzonej przez siebie muzyki; myślał on ciągle o pięknie prawdziwym i nie raz podsunął publiczności Webera lub Beethovena; publiczność przebaczała tę zdradę przez wzgląd na jego galopady i fantazyje, a nieznacznie oswajała się z dziełmi wyższego polotu. Zajaśniał Szopen; Liszt go powitał całym sercem bez hipokryzji, bez zawiści, uchylił przed nim czoło, bo poznał w młodym kompozytorze silnego opiekuna prawdziwej muzyki, którą szczerze miłował. Nikt z fortepianistów nie zna lepiej od Liszta wszystkiego, co od Haendla aż do Szopena napisano; nie masz ani jednej fugi Bacha, którąby nie umiał na pamięć, dzieła najpiękniejszych mistrzów przewartował jak prawdziwy artysta, studiując ich styl, zgłębiając ducha. Kto słyszał grę Liszta w gronie prawdziwych lubowników muzyki, ten przyzna, że ta gra była o wiele wyższą od jego gry koncertowej. Pytałem go raz, dla czego zamiast muzyki pocciwej karmi publiczność dziecinnstwami: *Que voulez vous*, odpowiedział: *cella donne de l'argent*. — Jakoż, przypatrzysz się bliżej, poznać łatwo, że to jest celem ogólnym dzisiejszej postępowej muzyki, która, Bogu chwała, coraz więcej traci na szacunku i oklaskach *).

***) Les choses réellement dignes d'être admirées, commencent ra-

Naśladowcy naśladownika Paganiniego, jak zwykle kopije z kopij, same błędy tylko schwycili a jak przed trzydziestą laty zalewano publiczność waryacyami, a nieco dawniej *bitwami* na wzór Bethowńskiego *Wellingtons' Sieg*, tak teraz nowa szkoła zabrała się do *transkrypcyj, fantazyj z ulubionych oper, paraphrases, penseés, souvenirs*, i t. d. a im tytuł sam mniej miał sensu, tem dzieło uważano za genialniejsze. Kto znalazł cierpliwość przejrzeć te fabrykacye, ten przekonał się, że ich tajemnica nie trudna a forma i sposoby wszędzie niemal też same. Kładzie się najprzód *wstęp*, rzadko mający związek z resztą rzeczy; potem bierze się jakąbądź *melodyą* z jakiejbądź *opery*, zawija się w siatkę *arpedżiów* lub *tryllów*, a nadusiwszy ją do woli, przyczepia się jej do ogona albo owo zakończenie sakramentalne, zużyte nawet w teatrze, które im dłuższe tem większe oklaski budzi, albo tę zmęczoną melodyą zaostrza się przez *point d'orgue* z sążnistą ruladą, poczem idzie się obojętnie do innego *tekstu* i znów do innego, przez liczbę stronnic zastosowanych pilnie do siły fizycznej koncertanta; przy każdej zmianie tematu, zdaje się słuchaczowi jak gdyby inną książkę wziął do czytania. Nie wchodzę w rozbiór naukowy tych smutnych kompozycyj; nie mamy dzienników poświęconych wyłącznie muzyce, a to co mówię, należałoby cytacyami udowodnić. Znaczna część koncertowego kontyngensu składa się z takich biedactw, a na dobitkę, każdy występujący publicznie ma sobie za punkt honoru własnymi kompozycjami przyjmować gości. Któż dziś nie komponuje? Kto jaką nędzną *Pensée religieuse*, albo *Fantaisie sur les themes favoris*, nie znaczy u dołu *op. 100, 500 i t. d.*? Jakże się robią te kompozycyje?? Zupełnie tym samym krojem i sposobem, jak się dawniej pisały ody a później ballady. Wiadomo, że przy małej nawet znajomości sekretu wiązania fraz, można za pomocą silnej woli i pracy sklecić jaką taką książkę lub fantazyję, a w muzyce łatwiej to idzie niż w innych sztukach; plagiaty muzyczne dają się snadniej ukryć przed publicznością niż pożyczki czysto literackie. (D. c. n.)

Flotta rosyjska.

(Dokończenie.)

Rosyjska flota składa się z 400 okrętów wojennych o 6000 dział i z 55000 majtków i osady. Flotta nadbrzeżna składa się z 130 mniejszych i większych czołen i szalup, niektóre o jednym lub dwu działkach, a niektóre bez dział zupełnie. Służy ona do obrony fińskich wybrzeży, otoczonych mnóstwem wysypek i ostrowów, po za które w razie zaatakowania kryją się te czołna. Wystawiona była głównie przeciw Szwecyi. Na morzu Kaspijskiem, Białem i Ochockiem zeledwie znajduje się kilka fregat i statków mniejszych. Dwie główne floty zajmują Bałtyk i Czarne morze. Flotta bałtycka jest liczniejsza od czarnomorskiej. Przewyższa ona co do liczby okrętów i dział wszyst-

rement par avoir la vogue, elles luttent longtemps avant qu'on les apprécie. La vogue est plus proche de la décadance que de la prospérité.
De Meuilherat.

kie floty razem, należące do nadbałtyckich mocarstw, to jest duńska i szwedzka, bo państwa nadmorskie niemieckie nie mają flot wojennych. Prusy mają zaledwie brygów kilka. Szwedzka flota składa się z 100 okrętów wojennych większych, w której liczbie jest 10 liniowych okrętów, a 14 fregat. Oprócz tego ma flotę nadbrzeżną składającą się z 300 szalup, staków i łodzi uzbrojonych w działka. Dania ma 30 większych okrętów wojennych; między temi jest 6 liniowych okrętów a 6 fregat. Łodzi kanonierskich liczy do 100.

Przed 150 laty t. j. przed Piotrem wielkim Rosyja nie posiadała ani jednej piędzi ziemi na wybrzeżu bałtyckim. Za Piotra wielkiego już flota rosyjska miała do obrony 100 mil wybrzeża, za Katarzyny 120 a na początku tego wieku 170 mil; obecnie zaś 300 mil wybrzeża posiada Rosyja nad Bałtykiem. Rosyjska flota zbudowana i uorganizowana jest podług wzorów angielskich i holenderskich. «Niema więc w sobie nic żywiołu narodowego. Wszystkie prawie nazwy techniczne wzięte są od Holendrów i Anglików, równie jak u armii lądowej nazwy techniczne są niemieckie, lub żywcem z niemieckiego urobione. Rosyjanie nie są narodem nadmorskim. Żaden z ludów należących do Rosyi niema inklinacji do życia na morzu. Właściwi Rosyjanie nigdzie nie zamieszkują wybrzeży morskich; jedynie jako koloniści, jako obcy, żyją pojedynczo i rozrzucony w nadbrzeżnych miastach. Ludy nadmorskie, do Rosyi należące, nie zajmowały się nigdy lub bardzo mało żegluga. Nawet Tatarzy, mieszkając od wieków w południowej Rosyi nad brzegami Czarnego morza, nigdy sami swych produktów nie spławiali, nie prowadzili na morze. Zawsze innych narodów okręta zabierały ich płody. Tylko mieszkańcy fińskich i estońskich wybrzeży stanowią wyjątek, dla tego też i wielu majtków dostarczają flocie rosyjskiej. Z początku Rosyja brała w swój żołd obcych marynarzy i majtków. Lecz to nie wystarczało. Zaczęto więc brać rekrutów do floty, z rolników i mieszkańców miast lądowych. Z 30000 majtków i milicyi okrętowej, pełniących dzisiaj służbę na flocie, jest przeszło 24,000 szczerów lądowych, jak rolników i mieszczan nazywają marynarze. Z tych więcej niż trzy części dostarcza lud polski, jako sprawniejszy i zwinniejszy. Również wiele żydów polskich służy na okrętach. W opisie Sewastopola, wyjętym z wspomnień z podróży, podanym w naszym dzienniku, mówi nasz podróżnik Marcinkowski iż wszędzie prawie na okrętach rosyjskich zdybywał majtków Mazurów. Widzieliśmy również w Tryeście kilka rosyjskich okrętów, których osada składała się z samych prawie Mazurów. Jakież było zdziwienie tych majtków, gdy usłyszeli żołnierzy austriackich tamże konsystującego pułku galicyjskiego, mówiących po mazursku. Zaraz zawiązało się między nimi koleżeństwo żołnierskie. Ale niestety! ci co dłużej na okręcie służyli, mówili już tym samym łamanym językiem, o jakim wspomina Marcinkowski opisując Sewastopol.

Flota wojenna w tym jedynie narodzie wysoko rozwinąć się może, który ma flotę liczną handlową. Rosyja nie ma floty handlowej. Istnienie więc floty wojennej rosyjskiej jest szcuczne, przypadkowe. Jedna kłęsa wielka jej zadana obalić może na długie lata potęgę morską Rosyi. Flota handlowa dla wojennej jest jak by rezerwa w wojsku lądowym, jakby pospolite ruszenie polskie w chwilach niebezpieczeństwa lub przegranej huców regularnych. Anglia, Francya, Dania, Ameryka północna, nawet Grecya, słowem wszystkie prawie żegluga zajmujące się narody, posiadają dzielną i liczną flotę handlową, która im nie tylko do okrętów wojennych, wyćwiczonych i doświadczonych majtków dostarcza, ale którą w razie wojny zaopatrzyć w działa, uzbroić lub w korsarzy zamienić można. Rosyja przeciwnie w porównaniu z innymi mocarstwami, niema prawie floty handlowej. Ona prowadzi głównie handel za pomocą okrętów do innych narodów należących. Z tąd flota wojenna rosyjska ma zupełnie inny cel niż angielska lub francuska. Te muszą ochraniać statki kupieckie, drogi morskie wiodące do kolonij ubezpieczać, torować przejścia, czuwać nad interesami swych narodowców, do zamorskich

handlujących krajów i t. p. Rosyja przeciwnie niema konwojów handlowych, którymi by fregaty dla bezpieczeństwa towarzyszyć musiały, Rosyja prócz kawałka lodu i śniegiem pokrytych pól w północnej Ameryce niema żadnych kolonij, w żadnym dalekiem morzu handlowych statków konwojować nie potrzebuje, aby ich ubezpieczyć od nagłych i niespodziewanych napadów i t. p. Rosyjska flota odbywa jedynie swe coroczne świetne manewry i parady po Bałtyku i Czarnem morzu. Wszystkie inne floty mają znajomość wszystkich mórz wielkich, rosyjskie zaś jedynie znajomość Bałtyku i Czarnego morza. Lecz gdy angielskie, francuskie, duńskie, szwedzkie i t. d. statki kupieckie raz wraz odbywają po bałtykiem i czarnem morzu swe podróże, więc Anglia i Francya wojując na tych morzach, bardzo łatwo zaopatrzyć się może w marynarzy znających te wody jeszcze dokładniej niż Rosyjanie sami, którzy przez wielką część roku z swych na północy położonych portów wojennych wydobyć się dla lodu nie mogą. Podobnie przez całą prawie zimę przymarza północne wybrzeże Czarnego morza, gdzie są główne przystanie wojenne. Cztery do sześciu a nawet aż do ośmiu miesięcy odpoczywać więc muszą w portach beczynnie floty rosyjskie, i zaledwie przez cztery do sześciu miesięcy ćwiczyć się mogą w obrotach morskich. Naturalna więc rzecz, że niemogą do tak wielkiej wprawy dojść, do jakiej dochodzą floty innych mocarstw, ćwiczące się bez przerwy przez rok cały. A nawet tak samo jak do manewrów tak i w wojnie tylko przez mniejszą połowę roku użyte być mogą. Tymczasem Francya i Anglia z nadchodzącą zimą, floty które na Bałtyk wprowadziły i gdzie indziej, przeciw innym nieprzyjaciołom wyprowadzić mogą. Flota rosyjska jest więc przez pół roku prawie kapitałem martwym, bezużyteczną siłą.

Do tego utrzymanie floty rosyjskiej mimo niskiego bardzo żoładu dla majtków i osady kosztowniejsze jest od angielskiej i francuskiej. A przyczyną główną są wody dwóch najważniejszych portów rosyjskich Kronsztatu z Petersburgiem, i Sewastopolu. W słodkich wodach kronsztadzkich nadzwyczaj szybkiemu ulegają gniciu, a w Sewastopolu, jak to Marcinkowski wspomina, robak (*teredo navalis*), toczy drzewo okrętowe, tak że zaledwie ośm lat okręt wytrwać zdoła. Utrzymanie floty rosyjskiej z wszystkimi zakładami kosztuje najmniej rocznie 65 milionów rubli. Jakąż ogromną sumę strawiła więc ta flota w ostatnich latach, a oprócz kilku spacerów do północnej Ameryki i kilku transportów wojska za Kaukaz przez cały czas była nieczynna.

Rozmaitość.

W poniedziałek obchodzono we Lwowie uroczystość zaślubin Cesarza Jegomości. Zrana o piątej przebudził mieszkańców odgłos muzyki. Kilka band pułkowych po wszystkich ulicach miasta odgrywało marsze tryumfalne. O w pół do dziewiątej godzinie położyła tutejsza gmina izraelska kamień węgielny na dom pracy dla izraelitów i zaopatrzyła w odzież 200 sierot izraelskich. O godzinie 10tej po wszystkich kościołach odbywało się solenne nabożeństwo, a wszystkie władze, urzędnicy wojskowi i cywilni, szlachta w mundurach stanowych i miejscy obywatele zebrali się w kościele katedralnym. W południe rozdawano po wszystkich dzielnicach miasta ubogim obiady, a biedniejszym i odzież. Wieczór był niemiecki Théâtre paré z wstępem z żywych ułożonym obrazów. Po ósmej wieczór nadeszła telegrafem wiadomość o dokonującej się w tej chwili ceremonii ślubnej w Wiedniu. Obraz odsłonił się na nowo, i po raz drugi odśpiewano hymn ludu. Również w tej samej chwili zaczęto dawać salwy z dział, a pięć pułkowych muzyk rozpoczęło capstrzyk.

Wczoraj w teatrze polskim przedstawienie na cześć zaślubin

Cesarza Jegomości, rozpoczęło się również obrazem z żywych osób złożonym, odśpiewaniem hymnu, i wygłoszeniem wiersza: „Zyczenia ludu.”

* Na wsparcie pogorzalców Cieszanowa złożono dalej: pp. Katarzyna Szawłowska 2. M. C. 1. H. Z. 1. Rozcisław P. 1. hrabina M. S. 5. J. Z. 1 Złr. Dawniejsze składki czyniły 27 złr. 50 kr. Razem 38. 50.

Wyjątek z listu z Kołomyi. Ależ umieszczać rozbiory pism takich jak *Wieczornice* p. L. S., to się już nie godzi. Czyż nie dosyć nieszczęścia, a właściwie rachunku na kieszenie głodnych, łatwo zwodzonych czytelników, że to wydrukują? A jeszcze utrzymują, że publiczność polska czytać nie lubi, nie chce.

Zbiorek ten bajek, z różnych języków i wieków ściągany, a zawsze strojny w narodowość, nie śmieszy nawet, tylko gniewa i nudzi. Wspomniana w Nrze 45. Nowin, powiastka pod nazwą nową: *Próba poświęcenia się z miłości*, była raz wydrukowana w tłumaczeniu z niemieckiego w zbiorze powieści i romansów w roku 1804 w Warszawie pod napisem: *Kochał ją więcej nad życie*. W kilka lat przeobraziła z niej pani z Radziwiłłów Mostowska i wydała w pisemku *Moje rozrywki* pod nowym strojem: *Nie zawsze tak się czyni, jak się mówi*, a teraz mamy *próbę poświęcenia się z miłości*, a raczej dotkliwą próbę cierpliwości czytających, poniewieranych, bo trudno nie użyć tego wyrazu, gdzie oczywistość mówi.

* Dnia 18go kwietnia umarł Józef Elsner w 85 roku życia, ten Nestor polskiej muzyki. Umarł on pod Warszawą w posiadłości swej szepułkiej za Pragę, którą posiadłość Elsnerówką mianowane. Dobrzyński dyrektor orkiestry warszawskiej, następcą Elsnera i Kurpińskiego, skomponował na pogrzeb weterana marsz żałobny. Uczniowie Elsnera nieśli frunę do grobu. Gazeta warszawska donosząc o śmierci Elsnera mówi: Gdy doniesiem czytelnikom naszym, że Józef Elsner umarł, słowa nasze staną się pełne treści, smutku, żalu i znaczenia, chociażby nawet były nieudolnie powiązane i uszykowane. Tak jest: Józef Elsner umarł; ten sam, który przed sześćdziesięciu laty pierwsze na ziemi tej, którą za własną przybrał, dzieło religijne napisał, a które przez te lat sześćdziesiąt brzmiało na wszystkich kościoła naszego chórach, podniecając zawsze do wzniesienia w modlitwie ducha; ten sam, którego czyste melodie, stały się melodyami ludowemi; ten sam, który Operze naszej służył kilka lat dziesiątek; ten sam, któru u kresu zawodu swego, gdy zwyczajny człowiek, staje się niedołącznym starcem, ciężarem ziemi i towarzystwa, zachował jeszcze tyle siły natchnienia, że złożył w hołdzie wdzięczności krajowi który go ochocho przyjął na swe łono i ukochał, dzieło monumentalne: — *Oratorium* (Męka Zbawiciela). Nie wliczamy tu wszystkich płodów i prac jego, bo za długi byłby ten szereg, bo zna te płody kraj cały i poza krajem nie są one obce i nie sławne; a powiemy tylko, że dziełom Elsnera, pracy jego, wielkiemu talentowi i celom, Opatrzność błogosławiła, zachowując go na tej ziemi zasługi lat ośmdziesiąt pięć.

Przyjechali dnia 24. 25. i 26. kwietnia do Lwowa:

PP. Borkowski Stanisław, z Jarosławia. Chmielewski Ignacy, z Lubyży. Czerwinski Jan, z Remizowic. Dobrzycki Franciszek, ze Złoczowa. Onyszkiewicz Fortunat, z Borusowa. Prytyka Karol, z Tucznaj. PP. Bryski Wojciech, z Przemysła. Chwalibóg Jan, z Lipowic. Horn Edward, z Laszek. Karasiński Antoni, z Chlebowiec. Franciszek hr Komorowski, z Zarzyc. Majewski Jan, z Zbaraża. Malczewski Stanisław, z Cześnik. Mysłowski Alfred, z Koropca. Okornicki Felicyan, z Rozdołu. Wolski Marcin, z Kamionki. Zarzycki Felix, z Chotylib. PP. Borkowski Teofil, z Brodów. Czajkowski Jan, z Hrehorowa. Hausner Otto, z Brodów. Szymanowski Franciszek, z Czerniowiec. Wysocki Florjan, z Hrehorowa.

Wyjechali dnia 24. 25. i 26. kwietnia ze Lwowa.

PP. Tytus hr. Dzieduszycki, do Kopyczynic. Aleksander hr. Komorowski, do Zbaraża. Felix hr. Koziobrodzki, do Przemysła. Ochanozyc Jan, do Brzeżan. Uszycki Włodzimierz, do Przemysła. Wojczyński Alfred, do Tuligłówn. Ludwik hr. Zabielski, do Tarnopola.

PP. Bielawski Karol, do Przemysła. Czermak Leopold, do Przemysła. Eminger Karol, do Krakowa. Grochowalski Zygmunt, do Swierza. Jasński Adam, do Turki. Korytko Eugeniusz, do Kołomyi. Lewicki Józef, do Bonowa. Manastyrski Antoni, do Turki. Tatomir Leon, do Skolego. Wolfarth Karol, do Odessy.

PP. Aleksander hr. Badeni, do Stryja. Romaszkan Zygmunt, do Derewacza. Smarzewski Nikodem, do Derewacza. Szuszkiewicz Jędrzej, do Stryja.

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówka	towarem.
Dukat holenderski	złr. 6 kr. 14	złr. 6 kr. 18.	
Dukat cesarski	" 6 " 16	" 6 " 20.	
Półimpéryał zł. rosyjski	" 10 " 55	" 11 " —.	
Rubel srebrny rosyjski	" 2 " 8	" 2 " 9.	
Talar pruski	" 2 " 3	" 2 " 5.	
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1 " 32	" 1 " 33.	
Galiczykie listy zastawne za 100 złr.	" 91 " 50	" 92 " 10.	

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	—	Marsylia	161 1/2.
Augsburg za 100 złr.	137 1/2.	Medyolan za 300 lirów	134 1/2.
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	161 1/2.
Frankfurt za 120 złr. podług	—	Agio duk. ces.	—.
24 1/2 stopy	136 1/2.	Srebra agio	37.
Genua	—	Pożyczka 5% 85 1/2, 4 1/2	76 1/2.
Hamburg za 100 tal. banco.	101 1/2.	Pożyczka lit. B.	—.
Konstantynopol	—	Akeye banku	1199.
Liwurno	—	Kolej późnocna	2245.
Londyn za 1 funtszterl.	13. 23.	Obl. ind.	5% —.

(68) **Hermann Kothe** (1-2)

wird in einem öffentlichen Vortrage für Damen und Herren eine Reihe von Proben seiner

Gedächtnißstärke

ablegen und die sehr einfachen Regeln mittheilen, wornach Jeder in ganz kurzer Zeit eine gleiche Gedächtnisstärke gewinnen kann. Tausende von Zuhörern **Hermann Kothes** in fast allen Haupt- und vornehmeren Städten Deutschlands verdanken seiner Darstellung ein vorzügliches Gedächtniss.

Dieser Vortrag wird stattfinden zum ersten und letzten male: Sonntag den 30 April, Abends 7 Uhr im Redoutensaale.

Der Eintritt ist, bis auf 10 kr. zur Kostendeckung frei.

Kwiaty i drzewa owocowe.

M. Giraud i spółka

Ogrodnicy z Paryża mają zaszczytawiadomić PP. miłośników ogrodnictwa, że przybyli do Lwowa z zapasem 8000 doborowych rozsąd kwiatów i krzewów ogrodowych i pokojowych — pomiędzy którymi jest 6 Asfodelów alpejskich różnych barw, którym zimno nie szkodzi i które kwitną 4 do 6 miesięcy — 100 rodzajów róż pełnych, jakoteż róż ciągle odkwitających (remontantes) — Kamelie, Kalmie, Magnolie, Azalee, Rododendrony i wybór Peonii arborea i arbosea do grządek — krzewy porzeczek, malin, rychłych winogron i poziomek, wydających poziomki wielkości jaja — 400 rodzajów drzew owocowych rychlików, morele, jabłonie, śliwy, neapolitańskie brzoskwinie bez pestek, grusze rodzące gruszki dwa funty wążące i czereśni wydające owoc takiej wielkości, że na funt cały idzie tylko 8 do 12 czereśni. Znajduje się także obfity zapas dobranych cebulek kwiatów i roślin do ubrania ogrodów i 500 rodzajów nasion kwiatowych i warzywnych — wszystkie po cenie bardzo umiarkowanej. Na żądanie posła się także ze wszystkiego choćby w najdalsze strony.

Skład znajduje się na placu św. Ducha, w domu p. Trenkla l. 42.

(64)

(2-2)